

Plebiscyt

25 maja 3 r. Związku Wszystkich, godz. 21.25

Chodził po pokoju od ściany do ściany, a ich intensywny kolor czerwieni wcale nie ułatwiał mu uspokojenia się. Wręcz przeciwnie - wprawiał go w jeszcze większe wzburzenie. Pomyślał nawet, że malowanie ścian na tak mocno rzucającą się w oczy barwę było specjalnym zabiegiem, by nawet tu – w sypialniach uczniów – siać nieustanny niepokój,

Na jego wysokim czole perlił się pot. Jego ręce za to, co chwila przyglądały spocone od niego włosy, by potem gwałtownie potargać je na nowo. Chodził tak już od parunastu minut.

- Czemu, sumienie - szepnął drżąc, ale czuł, jakby wykrzyczał własne potępienie - tak mnie zadreczasz?

Dopiero wtedy stanął. Czyżby to słowa tak go otrzeźwiły? Ogarnął go chłód, dreszcz przeszedł mu po ciele, spojrział w stronę okna - było otwarte. Ale od kiedy? Przecież doskonale pamiętał, jak poprzedniego wieczoru tuż przed pójściem spać, je zamykał. Nagle jakby ogarnęła go jeszcze większa panika. *Co się dzieje*, pytał sam siebie w duchu, *czy zwariowałem?* Oszczędny w ruchach przybliżył się do tego straszego okna, które teraz wydało mu się największym nieprzyjacielem. Ostrożnie wcisnął mieszczący się przy parapecie przycisk, a szyba zsunęła się w czasie krótszym niż pięć sekund. Natychmiast oparł o nią swoje czoło, zostawiając przy tym ślady, ale jednocześnie uzyskał to na, co liczył – chłód.

- Muszę się opanować – wymruczał z zaciśniętą szczęką.

Chłopiec, bo jeszcze nie mężczyzna, zacisnął pięści. Och, jak pragnął on wrócić do czasów ignorancji i nieświadomości. Jak wygodnie było po prostu nie wiedzieć. Ale on już tak nie mógł. Nie było powrotu - decyzja została podjęta, a on nie mógł się wycofać.

Nie uważał się nigdy za człowieka wierzącego. Bóg, a raczej sama koncepcja istnienia jakiegokolwiek przedwiecznej istoty wbrew racjonalnemu myśleniu została odrzucona przez większość. Mimo to Jerzy powrócił myślami do Nowego Testamentu, a raczej szeptu prababki Ninki o Jezusie, który modlił się w Ogrodzie Oliwnym tuż przed pojmaniem. I po raz pierwszy wydawało mu się, że potrafi go zrozumieć, a co więcej współczuć temu boskiemu synowi ziemskiej matki. Pomyślał nagle, że to takie właściwe zapłakać nad czyimś losem, dopiero wtedy, gdy przychodzi człowiekowi stanąć w podobnej sytuacji. *Śmierć w potępieniu większości*, stwierdził w duchu z pływającymi po białych policzkach łzami, *jest czymś niebywale straszliwym*.

Nagle błysk światła przez chwilę oślepił go i gwałtownie odskoczył od okna, zasłaniając twarz rękoma. Potykając się o własne łóżko, jego nieskoordynowane ciało upadło na zielony, miękki dywan. Zamrugał kilka razy oczami i struchlały patrzył przed siebie. Obiema dłońmi odgonił łzy, pocierając mocno twarz.

Światło zgasło.

26 maja 3 r. Związku Wszystkich, godz. 8.05

Zakładał szarą marynarkę z kamienną twarzą. Strach zniknął pochowany pod ciężarem odpowiedzialności.

- „Nazywam się Milijon, bo za miliony kocham i cierpię katusze” - zacytował cicho, po czym dodał sam do siebie, a na jego twarzy pojawił się obłąkańczy uśmiech: - Niechże będę ofiarą na najwyższym ołtarzu przyszłości.

Literatura była zabroniona, zabronioną zresztą była cała sztuka. Nie licząc oczywiście tych utworów mających za zadanie wychwalać pod niebiosa decyzji Związku Wszystkich, a

te były obrzydliwie nudne. Dlatego też tak niesamowitym było znać, choć jeden utwór minionej epoki. Jerzy zaś znał ich setki. Zawdzięczał to swojemu ojcu, a raczej jego nieuwadze. W końcu jego drogocenny, dostojny ojczulek był ministrem spraw dawnych, a co za tym idzie zajmował się głównie tym, by przeszłość pozostała przeszłością. Miał jednak jedną straszną wadę, zresztą bardzo popularną wśród wysoko postawionych ludzi – była to pycha. Pycha ta nie pozwalała mu pozbyć się tytułów dzieł, które kiedyś były tak cenne, a zakazanie ich sprawiło, że w jego oczach podniosła się ich wartość do wręcz niewyobrażalnych rozmiarów. Mężczyzna więc pobrał je na setkach czytelników, przynosząc tym samym każdy pojedynczy egzemplarz do swego domu, oczywiście stosując przy tym wręcz paranoiczną staranność. Nikt w rodzinie, oprócz niego samego rzecz jasna, nie miał o nich pojęcia. A przynajmniej nie miał mieć. Nie docenił on bowiem zapędów dziecka wiedzącego, że coś się przed nim ukryło. Chłopiec przeczytał część z nich zachłannie, wsiąkając jak gąbka głooszonymi przez nie ideami utraconego świata, a gdy nadszedł czas jego wyjazdu do szkoły, właśnie ich pozostawienia żałował najbardziej.

Z górnej półki (w akademiku nie było szaf, by zapobiec chęciom ukrycia podejrzanych rzeczy przed gronem pedagogicznym) wyjął błękitny krawat z białymi literkami AW. Założył go i mocno związał, by po chwili opuścić pokój. Pewnie schodził schodami w dół. Minął każdy kolejny pokój bez mrugnięcia okiem. Po chwili był już na dole. Akademia była pusta – był tego pewny, dopóki nie zawołał go donośny głos dyrektora placówki:

- Zatrzymaj się, młody!

Jerzy stanął na baczność. Jego podbródek uniósł się do góry, kiedy starszy, posiwiały już mężczyzna, o pulchnej podobnej do świni twarzy podchodził do niego ociężałym krokiem. Gdy w końcu był już przed nim, nie wahał się wyciągnąć w jego stronę swojego grubego palucha i pogrozić mu nim z fałszywym uśmiechem.

- No synu, nie spodziewałeś się mnie tu, co? - zaśmiał się głośno, odchylając się przez chwilę do tyłu i wypinając swój brzuch. Jerzy milczał. – Odpowiadaj, gdy do ciebie mówię!

Brunet nie wystraszył się. Stał cały czas wyprostowany, a gdy mówił, mówił głośno i wyraźnie - jak pewny siebie człowiek, na którego kształciła go szkoła.

- Nie, dyrektorze. Nie spodziewałem się tu pana.

Mężczyzna podniósł wysoko swoje krzaczaste brwi.

- A gdzie w takim razie myślałeś, że mogę być?

- Na uroczystym plebiscycie, panie dyrektorze.

- Ha. To dziwne, mój drogi, bo ja też się ciebie tam właśnie spodziewałem. Jesteś jedynym uczniem, którego tam jeszcze nie ma. Czy możesz mi powiedzieć dlaczego?

Siedemnastoletniego chłopca przeszedł dreszcz. Czy mógł coś podejrzewać? Wciąż wlepiający się w niego przeszywający wzrok obrzydliwego starca, którym szczerze od dawna gardził, wcale nie pomógł mu ukoić wątpliwości. Nie mógł się jednak poddać. Nie teraz. I nie przed n i m,

- Przygotowywałem się, panie dyrektorze. Ja...

Próbował znaleźć wymówkę. Ale każda, która przychodziła mu do głowy, wydawała mu się słabą i niewartą nawet wypowiedzenia. Dlaczego nie przygotował jakiejś wcześniej?! Och, jak głupi czuł się w tej chwili, jak marny i nic nieznaczący. Oczy miał rozbiegane, a wzrok niepewny. Dyrektor się niecierpliwił, Jerzy przez ostatnie pięć lat znajomości z nim mógł to łatwo dostrzec. Jeszcze moment, a przegra, nim zdążył nawet rozpocząć grę.

Nagle olśnienie. Zdanie, które przeczytał, w którejś z ukrytych przez ojca książek. „Prawda jeszcze nikomu nie zaszkodziła”. Słowa te były niejakiego Marka Aureliusza – Jerzy nie wiedział, kim on był (w szkołach nie uczono już tak dawnej historii), ale był mu w tej chwili po tysiącokroć wdzięczny. Odpowiedział, więc zgodnie z radą - prawdziwie.

- Szykowałem się do wyjścia, ale zwątpiłem. Teraz jednak wiem, czym jest obowiązek, proszę pana.

To zmyliło starszego mężczyznę. Jerzy prawie słyszał obracające się w jego głowie trybiki – maszynę, która po tak długim nienaoliwieniu, była nieprzyzwyczajona do działania.

- Tak... – wymruczał w końcu mężczyzna, jeszcze sam niepewny, tego co powiedzieć dalej. - Tylko, żeby mi to było ostatni raz. Marsz na plac! I pamiętaj, synu, że każdy błąd ma konsekwencje. Kara jest nieunikniona.

Powiedział swe ostatnie słowa, jakby sprawiały mu one niewysłowioną radość. Nagle jego surowa dotąd twarz nabrała rysów niemal dobrotliwego dziadzia, który karmił swojego buńczucznego wnuczka za głupią kradzież cukierków. Dyrektor Akademii Wiślanej był szalony i nie trzeba było geniusza, by to wydedukować. Ten emerytowany generał (musiał odejść z wojska po jego rozwiązaniu) sprawdził się już w niejednych, w wydanych przez ministra spraw ważnych, zadaniach, a dyscyplina, jaką wprowadzał na uczelni, potrafiła ostro wyszarpnąć z głowy uczniów nawet ledwie myśl o czymś niezgodnym z ustanowionym porządkiem.

26 maja 3 r. Związku Wszystkich, godz. 8.58

- Jerzyk, a ty gdzie się podziewałeś? - zakrzyknął jego jedyny przyjaciel.

Jego szeroki uśmiech pełen był pogody ducha i szczęścia. Jerzy go podziwiał. Jak Władek potrafił być tak szczęśliwy w czasach tak od tego dalekich? Nawet jego złote włosy krzyczały o jego blasku. Przy nim Jerzy mógł poczuć się, co najwyżej jak jego cień, który ledwie był godny nim bycia.

Jerzy usiadł przy chłopcu. Krzesła były ustawione w trzech rzędach i okalały cały Plac Wolności. Tworzyły nieprzerwane koło bez początku i końca. Na środku otoczona barierkami znajdowała się scena. Była oddalona od siedzących w pierwszym rzędzie (w tym Jerzego) o mniej więcej czterysta metrów. Plac był już zatłoczony, a wszystkie miejsca pozajmowane – nie był jednym z tysiąca stojących tylko dzięki wcześniejszemu zajęciu mu krzesła przez Władka.

- Zamyśliłem się – odpowiedział krótko.

Władek roześmiał się.

- Ty i to twoje myślenie. – skwitował tylko i zanim zdążył powiedzieć choćby słowo, wybrzmiało głośnie bicie kościelnych dzwonów (z zamkniętego klasztoru mieszczącego się nieopodal), a po chwili także policyjnych syren.

Nadjechały cztery czarne samochody. W środku wyjątkowo byli kierowcy - zwyczaj ten był praktykowany tylko w przypadku transportowania ważnych osobistości przede wszystkim dla pokazania prestiżu. Na co dzień jednak każdemu wystarczały automatyczne i samosterujące elektryki.

Z pojazdów wysiedli ubrani w białe kuloodporne kombinezony ochroniarze. Nawet ich twarze były częściowo zasłonięte maskami – widoczne były tylko oczy, szukające wokół możliwego zagrożenia.

- Policja nie wystarcza? – burknął ktoś siedzący za nim. – Kręcą się tu, jak w mrowisku.

- Cicho – szepnął kobiecy głos. – Idzie.

Dzwony i syreny ucichły. Znów wszystkich uderzyło oczekujące milczenie, a to za sprawą niskich rozmiarów człowieka wyłaniającego się z samochodu z pomocą wysokiej, jak tyczka żony. Zbliżał się pośród aplauzu zebranych na scenę. Oprowadzał go rój ochroniarzy otaczający jego sylwetkę z dwóch stron, a on nie zwracając na to najmniejszej uwagi, szczerzył się mdląco do ludzi. Po dwóch może trzech minutach był już na miejscu.

- Drodzy mieszkańcy – zaczął, a niewidoczny dla nikogo mikrofonik uniósł jego skrzeczący głosik po całym mieście. – To wielka chwila, bracia i siostry, synowie i córki naszej planety matki. Od wielu lat mierzymy się z błędami przodków. Zanieczyszczenie

klimatu, coraz częstsze epidemie, uprzedzenia i zawiść. Dzięki naszym staraniom miliony uprzedzonych starców, winnych temu stanowi rzeczy, posłaliśmy do podziemnych więzień. Często byli to bliscy nam ludzie, dlatego nasze poświęcenie jest jeszcze bardziej oczywiste. Zagrzebaliśmy ich, by móc zacząć od nowa. Jesteśmy nową kartą Ziemi, ludźmi którzy stawiają dziś ostateczny kres temu, co minione! Koniec granic i koniec wojen! Cieszymy się, moi mili, bo witamy nową erę.

Rozległy się brawa. Ludzie wstawali z krzeseł, krzycząc pochwały.

- Niech żyje jedność! Niech żyje zjednoczenie! Niech żyje Ziemia! – buchnęły z ich ust hasła, a pojedyncze głosy stały się jednym. Wydawali się naprawdę szczęśliwi, a to przeraziło Jerzego.

Oni się mylą, muszę – myślał, chcąc zagłuszyć natrętne wątpliwości, które uderzyły go z jeszcze większą niż przedtem siłą. *Muszę być jedynym rozsądnym pośród wrzasku zaślepianego tłumu* – przekonywał sam siebie.

- A teraz zacznijmy plebiscyt! – wykrzyknął znów niziutki minister spraw ważnych.

W jednej chwili na scenę wtoczyły się dwa, przypominające ludzi, roboty noszące wielki ekran. Oba wyglądały na młodych, pełnych sił i umięśnionych mężczyzn. Jedyne ich jaskrawo żółte ubrania zdradzały brak krwi tłoczzonej w żyłach. Gdy tylko bowiem czymś normalnym stało się chodzenie nie-ludzi po ulicach, zastosowano szereg przepisów mających chronić obywateli przed niebezpieczeństwami nowej technologii. Nie wystarczyły już do tego genialne umysły, oprogramowania, czy guziczki na pilotach – o nie, ludzie byli zawsze zbyt dumni, by zaakceptować najmniejszą przewagę innego gatunku, tym bardziej stworzonego przez nich samych. Nie-ludzie nie mieli uczuć - tak przynajmniej przekonywała władza i ci, którzy mieli w tej sprawie coś do powiedzenia.

Jerzemu jednak żal było tych istot, którym odebrano już na samym początku rozum i osobowość. Zrozumiał wtedy jednak, że on i inni dorastający w tych latach, byli do nich przerażająco podobni. To w tym momencie w młodym umyśle chłopca zakwitła myśl o zmianie. Ledwie pączek stał się różą, a kolce boleśnie i nieodwołalnie zakłuły, chcąc wyrwać się do innej rzeczywistości. Nie tej, którą dyktował Związek Wszystkich od lat zachęcający ich kraj, jak i wiele innych, do jego przystąpienia.

- Wyciągnijcie swe telefony, rodacy i zagłosujcie za jutrem! Ten plebiscyt odbywa się w tej chwili we wszystkich miastach naszego kraju, a Związek czeka na swojego nowego członka!

Wojewoda nie wspominał jednak o czymś bardzo ważnym w swej przemowie. O tym, że przystępując do Związku W. cała historia ich ojczyzny, wszystkie tradycje przechowywane od pokoleń, wszystko co wyróżniało ich wśród innych narodowości, miało stać się n i c z y m. Władze wszystkich województw i najwyżsi urzędnicy państwowi (w tym jego ojciec) od lat starali się to właśnie osiągnąć. Zakazanie ksiązek dokumentujących miłość do ojczyzny ich, czy jakiegokolwiek innego kraju, miało za zadanie zatrzeć chęć przynależności do państwa. Wiersze, pieśni, hymny, języki, obrazy, artykuły, ważne daty – wszystko to zagrzebane w imię nowej idei. Ale nie wszyscy byli gotowi się na to zgodzić.

Tak właśnie powstała Organizacja Niepodległych, która zrzeszała wszystkich tych, którzy byli gotowi oddać krew, by zatrzymać postęp. Byli wszędzie – w kwaciarni, parku, kawiarni przy stoliku, przydrożnym pubie za barem, czy w szkole.

To jeden ze starszych uczniów, kadet Michał należący do konspiracyjnego zgrupowania, zauważył potencjał Jerzego. Po raz pierwszy został on doceniony. Ten, który zawsze był w cieniu, miał szansę z niego wyjść – uratować naród. Zapobiegnie plebiscytowi, nawet jeśli okupi to swoim życiem.

Jerzy wstając, przełknął ślinę, choć gardło miał strasznie suche. Bał się.

I nie mógł pozbyć się myśli, która dręczyła go od bardzo dawna: *że może się mylił*.

